

ANNONCÉ PAR LES PAYS NORDIQUES ET RECONNU OSCO
L'accident de la centrale nucléaire soviétique
Pas de contrôle international
a fait plusieurs victimes



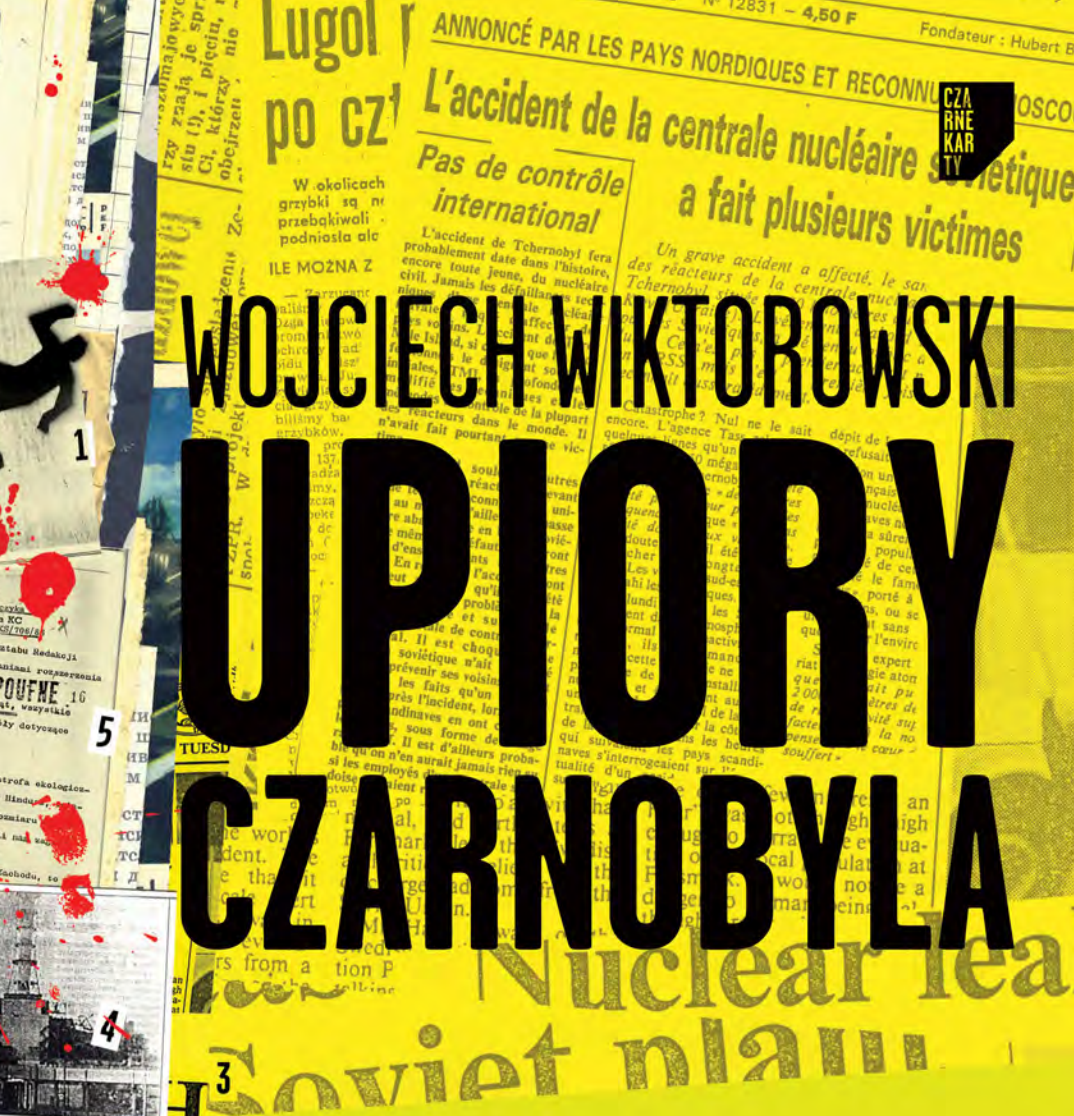
WOJCIECH WIKTOROWSKI UPJORY CZARNOBYLA

POWIEŚĆ OPARTA NA FAKTACH

These all confirmed a higher degree of radio activity than normal, and further tests at the Swedish
"hour" was not thought high enough to warrant the evacuation of the local population at the time. It would not be a radioleczna Profesora Jerzego

warszawa. Rok XL Wyd. 2
PL ISSN 0137-9119 Nr 83 (12 010) Cena 8
Nr indeksu 3 012

Awaria reaktora atomowego w elektrowni na Ukrainie



1
5
4
3

Prolog

Nieznajomy nosił biały fartuch, białe spodnie i specjalne obuwie ochronne. Choć z daleka wyglądał jak inni, Sasza R. od razu wiedział, że coś jest nie tak. Podejrzliwie patrzył, jak nieznajomy przechadza się po hali reaktora, sprawdza aparaturę kontrolną i pochyla się nad stronami wydruków z komputera. Wiedział, że wystarczy tylko podejść bliżej, aby nieznajomy się odwrócił. Ukazywała się wtedy groźna zagniewana twarz i pałające nienawiścią oczy. Ta twarz była po prostu straszna: na czole i skroniach widniały głębokie rany, a krew zakrzepła na policzkach tworzyła czarną, grubą skorupę. Do tego dochodziła rozłupana głowa, strasząca głęboką dziurą, z której wypływała biała kleista substancja.

Gdy Sasza po raz pierwszy zobaczył ten przerażający widok, nie wytrzymał. Odskoczył jak oparzony, odwrócił się i zaczął uciekać. Biegł długimi, niekończącymi się korytarzami, które otaczały hale reaktora, i choć nogi ciążyły mu jak ołów, a płuca ściśnięte w skurczu

przerażenia nie pozwalały zaczerpnąć ani odrobiny powietrza, nie zatrzymałby się za nic w świecie.

Tak było za pierwszym razem. Potem, gdy koszmarny sen zaczął się powtarzać, Sasza zebrał się na odwagę i postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczej zjawie. Całą siłą woli starał się więc powstrzymać chęć ucieczki i przedłużyć spotkanie ze straszliwym przybyśmem, aby złowić choć strzęp zdania, zanotować w pamięci jakiś szczegół, cokolwiek, co pomogłoby wyjaśnić zagadkę przerażających odwiedzin.

Tej nocy prawie się udało. Nie zrozumiał wprawdzie tego, co mężczyzna posługujący się jakimś dziwnym językiem usiłował mu powiedzieć, bez trudu rozpoznał jednak przedmiot leżący na jego dłoni. Była to mała, okrągła kapsułka. Tysiące podobnych pastylek wypełniały prety paliwowe reaktora. Dlaczego miałyby się nimi zainteresować? Dlaczego były aż tak ważne? Dlaczego spotkanie z nieznanym i cały sen zakończyły się sceną ogromnego pożaru?

Obudził się zlany potem. Kończąc się, pomyślał z rezygnacją. Wolał nawet nie przypuszczać, co powiedziałby lekarz resortowy, gdyby zwierzył mu się ze swoich koszmarów. Dobrą pracę, życie w nowym, świetnie zaopatrzonej mieście pewnie mógłby spisać na straty.

Zanim nadeszła pora wyjazdu, zjadł coś, zrobił zakupy, posprzątał mieszkanie. Nocne przeżycia nie minęły jednak bez śladu: nie cieszył go ani początek wiosny,

ani perspektywa zbliżającego się weekendu, który za przykładem doświadczonych pracowników przedłużył sobie aż do drugiego maja. Był apatyczny i zniechęcony.

Autobus odjechał o 14.45. Pod drodze, jak zwykle, zatrzymywał się jeszcze dwa razy, aż wreszcie dowiózł ich do elektrowni położonej kilka kilometrów od miasta. Sasza, jak co dzień, rozebrał się w szatni, ruszył pod prysznic, a następnie w samych slipkach przeszedł do „brudnej” strefy. Tam czekał na niego biały fartuch, czepek i specjalne obuwie.

Gdy o czwartej pojawił się na swoim stanowisku w sterowni, dowiedział się, że moc reaktora została obniżona o połowę i że wszystko jest już gotowe do przeprowadzenia eksperymentu. Zaklął pod nosem. Przeklęty eksperyment. Dałby wiele, żeby już mieć go z głowy.

Tymczasem próba nie była szczególnie trudna. Aby ustalić parametry różnych urządzeń w warunkach awarii, postanowiono awarię taką, oczywiście kontrolowaną, zaaranżować. Ryzyko prawdziwego wypadku, które pojawiało się przy tej okazji, uznano za minimalne. Sasza R. był jednak innego zdania.

Najbardziej martwił się zablokowaniem awaryjnego systemu chłodzenia reaktora. Wydawało się to niemożliwe, ale kierownictwo naprawę zgodziło się na zaplombowanie i wyłączenie najważniejszego systemu bezpieczeństwa. Pozwolono odciąć od prądu zasuwy

na rurociągach i zamknąć je na kłódkę. W odpowiedzi na jego raport dyrekcja tłumaczyła, że nagłe podanie wody do rozgrzanego reaktora grozi poważnym udarem cieplnym.

Trudno mu było także spokojnie słuchać o planach zablokowania awaryjnych generatorów spalinowych i transformatora rezerwowego. Wyjaśnienia, iż wymaga tego „czystość” eksperymentu, nie trafiały mu do przekonania. Projektanci nie umieścili przecież tych urządzeń dla dekoracji.

Z każdą chwilą pobytu w sterowni czuł coraz większy niepokój. Okazało się, że na dobrą sprawę pozostał im tylko jeden środek bezpieczeństwa – przycisk zabezpieczenia awaryjnego. Po jego naciśnięciu w głąb reaktora miało opaść dwieście jedenaście prętów wypełnionych borem – substancją silnie pochłaniającą neutrony. Reakcja łańcuchowa w reaktorze powinna ulec natychmiastowemu zahamowaniu.

Popatrzył z uwagą na czerwony guzik umieszczony pośrodku pulpitu sterowniczego. Ich jedyna gwarancja. Stuprocentowe zabezpieczenie. Ale czy na pewno?

Poczuł zimne krople potu spływające po plecach. Jak na zwolnionym filmie przesunęły się przed nim makabryczne sceny, o których wcześniej ani on, ani żaden z pracowników elektrowni nie odważyłby się pomyśleć. Reaktor traci stabilność, aby zapobiec wypadkowi, ktoś naciska przycisk awaryjny. Końcówki prętów powoli

zagłębiają się w kanałach reaktora. Końcówki te – wiedział o tym doskonale – wypełniał grafit. Potem był metrowy pusty odcinek, a dopiero później część pochłaniająca.

Do strefy aktywnej reaktora najpierw wchodzi więc substancja powodująca skokowy wzrost jego mocy. W kanałach zaczyna kipieć nośnik ciepła. Błyskawicznie rosną ciśnienie i temperatura pary. Jeśli z jakiegoś powodu opadanie prętów potrwa zbyt długo albo zostanie zatrzymane – powtórzy się historia z Three Mile Island. Wskutek reakcji rozgrzanej pary z substancjami wchodzącymi w skład osłon elementów paliwowych zacznie się wydzielać mieszanina piorunująca. Wtedy wystarczy jedna iskra.

O dwudziestej trzeciej zadzwonił telefon. Okręg Energetyczny wyraził zgodę na odłączenie turbogeneratora od sieci. Dziesięć minut później zaczęli znowu obniżać moc reaktora. Eksperyment się rozpoczął.

Sasza R. nie wziął w nim jednak udziału. Dokładnie o północy, w piątek, skończyła się jego zmiana. Przebrał się i wrócił autobusem do domu. Do samego rana spał zdrowo i mocno. Nocny gość nie odwiedził go już nigdy.

To było jedno z tych beztroskich, wesołych przyjęć, jakich dzisiaj już nie ma. Na stołach królowała żytnia oraz półmiski kanapek z szynką, żółtym serem i jakimiś warzywami. Panie piły bułgarskie czerwone wino lub francuską brandy z Pewexu. Na regale huczał adapter, odtwarzając starą, zdartą płytę z przebojami Paula Anki. W małym żoliborskim mieszkaniu było tłoczno i hałaśliwie. Przyjęcie się rozkręcało.

Zobaczyłem go, stojącego w drzwiach z wielką butelką w ręku. Górował prawie o głowę nad tańczącymi i łatwo można było dostrzec lekkie zaniepokojenie, gdy rozglądał się po pokoju, sprawdzając, czy nikt nie opuścił swojej kolejki i nie straszy niedopitym kieliszkiem. Ale nie – wszystko było w porządku.

Wyprostował się i zaczął coś mówić do żony, która uczepiła się rękawa jego marynarki. Ścisłe rzecz biorąc, rzucił w jej kierunku jakąś uwagę i teraz już tylko słuchał, jak papple coś, przekrzykując muzykę. Stał tak, uśmiechając się – wielki, nieporuszony, niepokonany.

Traf chciał, że właśnie w tej chwili Paul Anka zakończył swoje popisy, muzyka ucichła, tańczący znieruchomieli, jakby zastanawiając się, czy dalej robić swoje, czy zająć się czymś pożyteczniejszym. Trwało to tylko krótką chwilę, zaraz ktoś zmienił płytę, adapter zatrzeszczał i z głośników ruszyła muzyczna maszyna Benny Goodmana.

To było jak fanfara na jego cześć. Orkiestra grała, a on stał otoczony rozbawionymi ludźmi, którzy rozpoczynali kolejny taniec. Potężny, czterdziestoletni mężczyzna, który do tej pory ze wszystkim sobie radził. Doktor, fizyk, atomista. I do tego – z pękatą flaszką w ręku.

Gapiłem się na jakąś tańczącą parę, gdy poczułem stuknięcie w ramię. Stał tuż za mną i z dumą pokazywał butelkę dwunastoletniej szkockiej.

Roześmiałem się i sięgnąłem od razu po czystą szklaneckę.

– Zrzut?

Pokręcił przecząco głową.

– Klient.

Aż gwizdnałem.

– Wydawało mi się, że oni używają raczej stolicznej.

Skrzywił się. Chciał coś odpowiedzieć, ale najwyraźniej uznał, że ważniejsze będzie nalewanie drogiego trunku. Podnieśliśmy szklanki w górę.

– Zdrowie! Są klienci i klienci – powiedział, gdy już skosztowaliśmy trunku. – Monopol wychodzi z mody.

Rozejrzał się po pokoju wypełnionym tańczącymi ludźmi. Benny Goodman, zapach niezłego tytoniu, bateria butelek z dobrym alkoholem, no i co najważniejsze: starzy, wypróbowani znajomi – jego terytorium było odpowiednio wykorzystane. Goście i goście. Tu byli ci właściwi.

– Widzimy się jutro?

Skinął głową, odstawił szklanekę i zniknął gdzieś w tłumie. Rozmowa dobiegła końca.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, co powiedział. Monopol wychodzi z mody? Odpowiedź pojawiła się natychmiast w postaci zwalistego faceta w kraciatej tweedowej marynarce. Zwabiła go butelka whisky, którą Doktor nieopatrznie zostawił na stole.

– Pozwoli pan – mruknął pod nosem i nie czekając na odpowiedź, grubymi paluchami zabrał się do nakrętki. Nalał sobie co najmniej pół szklaneczki. Ponieważ gapiłem się na to bez entuzjazmu, mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Dobry gatunek – powiedział. – Zawsze przywożę spory zapas.

No i wszystko było jasne. Dobrze, że nie zamelino-
wałem gdzieś tej butelki.

– Monopol wychodzi z mody – rzuciłem, żeby zacząć od czegoś rozmowę.

To mu się spodobało. Nalaną twarz ozdobił szczery uśmiech podpatrzony u zagranicznych szefów. Skinął głową.

– Mówią, że czerwoni są już na linach. Jeszcze trochę i będziemy ich mieli.

Zrobiłem głupią minę. No bo jak zareagować na taką bezpośredniość.

– A Doktor? – zainteresowałem się.

– Doktor? – roześmiał się gromko. – Przewietrzyliśmy trochę jego muzeum. Na pewno nie będzie musiał się wstydzić.

– Było aż tak źle?

– Jeszcze gorzej – kolejne porozumiewawcze mrugnięcie. – Zatrzymali się trzydzieści lat temu. Wojny jądrowe, próbne wybuchy w atmosferze. A to już nie te czasy.

Wypił spory łyk. Podążyłem w jego ślady.

– W każdym razie wyposażenia Doktor nie musi się wstydzić. Było cholernie ciężko, ale zdążyliśmy. Sam pan wkrótce się przekona.

– Wkrótce... czyli jutro. Chcemy pokazać na małym ekranie pracownie polskich uczonych.

– Jutro? – Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.
– Poważnie?

Wzruszyłem ramionami.

– Dzień jak każdy inny.

Wyglądało, jakby ta uwaga popsowała mu nastrój. Nagle spoważniał i zamyślił się nad czymś głęboko. Sięgnął po butelkę. Zanim jednak nalał mi choć kroplę, zmienił zdanie.

– Niech pan już więcej nie pije – powiedział bardzo serio.

Potem niespodziewanie odkręcił się na pięcie i odszedł. Dziwny typ!

Oczywiście, nie miałem zamiaru przejmować się idiotyczną radą. Nalałem sobie do pełna i w spokoju chłonałem nastrój przyjęcia. Robiło się coraz głośniejsze, gwar rozmów coraz skuteczniej zagłuszał muzykę, aż wreszcie ktoś się zlitował i wyłączył adapter. Wszyscy gadali, śmiali się i zacząłem się zastanawiać, czy nie wyglądam głupio, stojąc jak kołek przy stole z zakąskami.

Pomoc nadeszła w samą porę. Miała około trzydziestki, skromną letnią sukienkę i fantastyczną fryzurę w kolorze blond. Sprawiała wrażenie zagubionej.

Zwabiłem ją na szklaneczkę whisky.

– Widzę, że ma pan specjalne układy – powiedziała, próbując złocistego płynu.

Wzruszyłem ramionami.

– To nasz gospodarz. Nowa aparatura, nowe znajomości.

– Słyszałam. Wreszcie idzie w górę.

Skrzywiłem się.

– Ale stamtąd jest podobno tylko jedna droga. Tak mówią.

Nie dała się przekonać.

– Krakanie! Co ma robić? Spędzić resztę życia w tej swojej piwnicy?

– W piwnicy?

Odstawiła szklankę i rozejrzała się po pokoju. Ktoś pomachał do niej ręką. Odmachnęła. Wyglądało na to, że nasza rozmowa dobiega końca.

– Jutro pan zobaczy – rzuciła. – I niech pan tyle nie pije.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć coś sensownego, zniknęła w tłumie gości. Zostałem sam z pełną szklanką w ręku. Może rzeczywiście powinienem zrobić przerwę i zająć się poszukiwaniem jakiegoś sympatycznego damskiego towarzystwa? Ale nie udało się.

Najpierw całe pole widzenia wypełniła butelka żytniej, potem dostrzegłem brązową MHD-owską marynarkę i kłującą w oczy biel popelinowej koszuli ze staromodnym kołnierzykiem, a na końcu – szeroko uśmiechniętą twarz. Dwoje bladoniebieskich oczu zmierzyło mnie podejrzliwie. Ale nie, najwyraźniej wszystko było w porządku, oczy zamrugały i wróciły do prywatkowej normy.

– Pijesz?

Wskazałem głową na w połowie pełną szklankę.

– Whisky? Nie używam!

Mój nowy rozmówca postawił swój kieliszek na stole i napełnił go z wprawą sztukmistrza. Nie sposób było przy tym nie zauważyć paskudnie ciągnących się pod pachami rękawów i fatalnego wyglądu całego garnituru. Ale nie zwracał na to uwagi. Może dlatego, że przyjęcia nie były specjalnością pana Marka, asystenta Doktora. Pan Marek specjalizował się w dozymetrii. Taki miał

fach. Ja i Doktor wiedzieliśmy co nieco również o innych jego zajęciach.

– Zdrowie. – Stuknął kieliszkiem o moją szklankę.

– Podobno wybierasz się do nas?

Skinąłem głową.

– Doktorowi przyda się teraz trochę reklamy. Ale nie przesadzaj.

Wzruszyłem ramionami i pociągnąłem ze szklanki długi, ostateczny łyk. Propaganda to był mój resort. Pan Marek miał swoje pomiary. Dlaczego, psiakrew, pchał się na mój teren?

Pewnie nie zdołałem ukryć swoich myśli, bo kątem oka zauważyłem, że przypatruje mi się podejrzliwie.

– Mam dla ciebie coś specjalnego – powiedziała i sięgnęła do kieszeni marynarki.

Niewielka piersiówka z brunatnego szkła raczej nie wzbudzała zaufania. Zwłaszcza że nie dostrzegłem choćby śladów etykiety.

– Tym razem nie możesz odmówić. – Do mojej szklanki lał się już wstrętny brunatny płyn. – Musisz to wypić.

– Naprawdę dziękuję – starałem się być jak najbardziej stanowczy. – Naprawdę!

Trafiłem jednak na twardą sztukę.

– Musisz wypić – usłyszałem stanowcze polecenie.

– To poważna sprawa.

Pod mój nos trafiła szklanka z płynem, który wydzielał intensywny zapach włoskiego orzecha.

– Nie! – tym razem prawie krzyknąłem.

Z dezaprobatą pokręcił głową i podniósł w górę kieliszek z wódką.

– Zdrowie! Myślę, że będzie ci teraz bardzo potrzebne.

Poniedziałek 28 kwietnia 1986 roku był pogodnym wiosennym dniem. Walcząc z gigantycznym kacem – pozostałością niedzielnego przyjęcia – usiłowałem wydostać się z centrum miasta, aby dotrzeć do miejsca pracy Doktora. Była to niezbyt znana resortowa placówka naukowo-badawcza. Redakcja uznała, że warto wydać trochę grosza, aby pokazać najnowocześniejszą w kraju aparaturę do badania skażeń powietrza. I właśnie ja miałem się tym zająć.

Laboratorium mieściło się w niskim, niepozornym budynku kilkaset metrów od ruchliwego traktu komunikacyjnego. Dotarłem do niego mniej więcej po godzinie tułaczki kilkoma tramwajami i podmiejskim autobusem. Gdy pokonałem wreszcie gliniastą ścieżkę i znalazłem się pod szklanymi drzwiami, za którymi widać było szatnię i przygarbionego portiera-recepcjonistę, czułem wyraźnie, że serce wali mi jak młotem, a po twarzy spływają krople zimnego potu. Cholerna gorzała – pomyślałem – kiedyś mnie wykończy.

Na domiar złego okazało się, że Doktor i pan Marek pracują w „bunkrze” – podziemnym pomieszczeniu znajdującym się kilkadziesiąt metrów od budynku. Portier sapał i chrząkał, wreszcie jednak dał się ubłagać i zgodził się zaprowadzić mnie do tego sanktuarium.

Po chwili stanęliśmy przed niepozornym barakiem, portier wystukał jakiś kod na zamku cyfrowym i gdy otworzyły się drzwi obite stalową blachą, zesliśmy w dół wąskim, ciemnym korytarzem.

– Panie doktorze! – zawołał.

Cisza. Po chwili skrzypnęły jakieś drzwi, usłyszeliśmy kroki i przed nami stanęła potężna postać w rozpiętym białym fartuchu. Doktor miał szarą zmęczoną twarz, a jego wzrok mówił, że najchętniej posłałby nas do wszystkich diabłów. Ale nie był to tylko kac.

Pomilczeliśmy sobie przez chwilę, aż w końcu usłyszałem coś, co doprowadziło mnie do stanu wrzenia.

– Niemożliwe – powiedział, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy w życiu. – Dzisiaj absolutnie niemożliwe. Jutro także nie.

Ale heca! Sto razy ostrzegano mnie, aby nie wciągać znajomych do współpracy. Ale nie przyjechałem tutaj na poprawiny.

– Chwileczkę – warknąłem. – To było uzgodnione spotkanie. Umówione na dzisiaj. Właśnie na dzisiaj!

Zastanowił się. Popatrzył na mnie bardzo niechętnie, potem opuścił głowę, odwrócił się i odszedł. Ruszyłem

za nim. Za plecami usłyszałem jeszcze sapanie portiera i trzaśnięcie drzwi. Udało się – pomyślałem z satysfakcją.
– Ta cholerna podróż nie pójdzie na marne!

Aparatura sprawiała korzystne wrażenie. Pokażna metalowa szafa stojąca w ciemnym, pozbawionym okien pomieszczeniu wyposażona była w ogromne, grube na kilka centymetrów drzwi. Gdy Doktor z wysiłkiem je rozsunął, czerwonym blaskiem błysnęła miedziana blacha. W środku widać było statyw z jakimś kablem, obok jarzyły się kolorowe ekrany monitorów. Przy klawiaturze komputera siedział facet w białym fartuchu. Dwóch innych naukowców wisiało mu nad głową. W kącie dostrzegłem pana Marka z plikiem wydruków. Niczego więcej do szczęścia nie było mi potrzebna.

– W porządku – zdecydowałem. – Będziemy oczywiście chcieli pokazać przebieg pomiarów. Pomogą nam panowie?

Odwrócili się i popatrzyli na mnie w kompletnym osłupieniu. Gapili się tak przez dłuższą chwilę, aż wreszcie odezwał się Doktor.

– Jasne – mruknął. – Czego się nie robi dla mediów.

Pewnie mi się zdawało, ale to ostatnie słowo wypowiedziane zostało z pewną ironią. Towarzyszył mu znaczący uśmiezek. Po chwili dostrzegłem go także na twarzach trzech pozostałych naukowców. Nagle zadzwonił bowiem telefon, przynosząc – co wywnioskowałem z krótkiej, nerwowej rozmowy – polecenie natychmiasto-

wego przeprowadzenia pomiarów. Za cenę ogromnego wysiłku utrzymałem obojętny wyraz twarzy. Telewizja to potęga. Ktoś miał wątpliwości?

Pan Marek na pewno ich nie miał. Złożył swoje szpargały i podszedł, aby naradzić się z czwartą władzą. Pod jego oczami widziałem sine ślady wczorajszego przyjęcia, ale głos miał wyraźny i stanowczy.

– Gdzie ekipa?

– Jaka znowu ekipa? – warknąłem.

Rozejrzał się po bokach, sprawdzając, czy nikt go nie usłyszy.

– Ekipa, baranie – wysyczał. – Kamera, światło, dźwięk. Tylko mi nie mów, że przyjechałeś sam.

Westchnąłem ciężko.

– Jest coś takiego jak dokumentacja. Przed zdjęciami wszystko się sprawdza. Nie słyszałeś o tym, baranie?

Odpowiedź nie nadawała się do powtórzenia. Z rezygnacją pokręcił głową, odwrócił się i wybiegł z pracowni w ślad za Doktorem. Spotkaliśmy się na niewielkim placu, gdzie znajdowała się naziemna część aparatury pomiarowej. Przypominała nieco stalowe szafy umieszczone przez elektryków na ulicach i na budowach. W środku zamiast korków i przełączników znajdowała się pompa tłocząca trzysta metrów sześciennych powietrza na godzinę i superdokładne filtry Petrianowa.

Doktor niczym mistrz ceremonii dostojnie wyciągnął klucze, z namaszczeniem otworzył stalowe drzwi

i ostrożnie zaczął wyjmować ramę z kwadratowym, szarym od pyłu kawałkiem tkaniny. Gdy chciałem przyjrzeć się dokładniej, powstrzymał mnie stanowczym ruchem ręki.

– Uwaga! – mruknął.

Skrzywiłem się.

– Rzeczywiście, lepiej nie oglądać brudów, którymi oddychamy w stolicy.

Wzruszył tylko ramionami i delikatnie włożył ramę z filtrem do plastikowego worka. Później mogłem się przyglądać fascynującym operacjom suszenia i prasowania szarej tkaniny. Wszystkie te banalne czynności wykonywano z takim nabożeństwem, jakby zależały od nich losy świata. Maniacy!

Wreszcie dobrnęliśmy do finału. Mały cylinder ze sprasowanym kawałkiem filtra został umieszczony na statywie, drzwi komory zasunięto, a Doktor, wymieniwszy z kolegami jakieś uwagi w naukowym narzeczu, zasiadł przy klawiaturze komputera. Schroniłem się w najciemniejszym kącie „bunkra”, starając się choć na chwilę zapomnieć o pękającej z bólu głowie i wyschniętym gardle. To najwyraźniej nie był mój szczęśliwy dzień: zamiast kurować się w zaciszu łazienki, musiałem obserwować jakieś idiotyczne naukowe czary-mary.

Skończyły się zresztą jak większość doświadczeń, w których brałem udział. Nagle coś trzasło, prasło, usłyszałem nerwowe okrzyki i monitory komputerów zasnuła

szara mgła. Z pomiarów wyszły nici. Po prostu – jak się później dowiedziałem – precyzyjna aparatura nie zdołała zmierzyć skażeń powietrza, które pobiły wszelkie rekordy. Czuły spektrometr zatkał się na amen.

Najbardziej złościł się wysoki chudy mężczyzna tytułowany profesorem.

– No i ma pan tę swoją cudowną aparaturę! – wykrzyknął. – Nic nie działa. Tysiące dolarów wyrzuconych w błoto!

– To co pan tu jeszcze robi? Niech pan wraca do siebie i swoich danych – odparował Doktor. – Sam pan wie, ile są warte.

Bezmyślnie przysłuchiwałem się naukowej dyspacie, która z minuty na minutę stawała się gorętsza. „Duży przepływ powietrza”, „za wysokie skażenia”, „zbyt czuła aparatura”, „brak ekranowania” – spierali się coraz głośniej, zupełnie jakby chcieli doprowadzić do eksplozji moją biedną czaszkę. Wreszcie okazało się, że będziemy musieli czekać jeszcze dwie godziny na kolejny pomiar. Cholera!

Jakoś przetrwałem. Były to jednak najdłuższe dwie godziny w moim życiu. Gdy wreszcie przyniesiono próbkę i ekrany rozjarzyły się zielonym blaskiem, chciało mi się śpiewać z radości. Po chwili sposepniałem. Doktor przypomniał sobie o mnie, wywołał z kąta i cichym spokojnym głosem, jakbyśmy znajdowali się w sali seminaryjnej, zaczął objaśniać szczegóły widoczne na ekranach monitorów.

– Badamy skażenia promieniotwórcze z próbki powietrza atmosferycznego pobranego pomiędzy jedenastą dziesięć a trzynastą piętnaście. Co tutaj mamy? Przede wszystkim: jod sto trzydzieści jeden. – Wskazał wysoki zielony słupek. – Jakież osiemdziesiąt razy więcej niż dopuszcza norma. To ważne: ten izotop jodu wywołuje bowiem nowotwory tarczycy. Poza tym mamy sporo cezu sto trzydzieści siedem, sprawcy nowotworów wątroby, śledziony i układu mięśniowego, oraz rutenu sto trzy, wywołującego nowotwory płuc. Daję głowę, że znajdziemy jeszcze stront dziewięćdziesiąt. Ale będziemy musieli trochę poczekać na wyniki radiochemii.

Zatkało mnie. Chciałem coś powiedzieć, o coś zapytać, ale wyszedł z tego tylko nieartykułowany bełkot. Korzystając z nagłej przerwy, wtrącił się stojący obok profesor Z.

– Proszę się uspokoić, panie redaktorze. Kolega oczywiście przesadza. Jak wynika z naszych pomiarów, normy skażeń w Warszawie są istotnie nieco przekroczone.

– Ponad dwustukrotnie – mruknął Doktor.

– Nieprawda. Znacznie mniej. Dawki promieniowania są jednak w sumie minimalne. Znacznie mniejsze niż te, które my, atomiści, przyjmujemy na co dzień.

– Mamy prawie dwustukrotne przekroczenie – upierał się Doktor. – Ta aparatura nie kłamie.

– Bzdura, nas obowiązują inne metody pomiaru. Panie redaktorze – rzekł profesor Z. pojednawczo – niewątpliwie

coś się stało. Próbny wybuch, awaria satelity, jeszcze nie wiemy. Wiemy na pewno, że nie ma powodu do paniki.

Zakręciło mi się w głowie. Nagle zwyczajna, prymitywna pracownia umieszczona w piwnicy jakiegoś baraku zamieniła się w scenerię horroru z międzynarodową obsadą. A ja w ułamku sekundy zorientowałem się, że stoję przed życiową szansą.

– Nie ma powodów do paniki, no jasne – pan Marek postanowił wtrącić swoje trzy grosze – ale skoro już tu jesteś, powinienes coś zobaczyć. Nie mamy przecież nic do ukrycia.

Otrząsnąłem się jak pies. Rany boskie, miałem w ręku temat życia! Przeklęte nogi nie chciały jednak dostroić się do nagłej zmiany sytuacji. Zachwiałem się, jakimś cudem wróciłem do pionu, a potem, z wysiłkiem zginając dwa bezwładne kloce, niezdarnie ukloniłem się grupce uczonych i jak popsuty automat poczłapałem za asystentem.

Trafiliśmy najpierw do jakiejś pracowni. Pan Marek zdjął z regału aparat przypominający żelazko. Wyszliśmy przed pracownię. Pan Marek pochylił się i zaczął przesuwac radiometr nad chodnikiem. Wyglądało to trochę głupio: technika dwudziestego wieku, jakaś poważna awaria, a tu polski atomista ze swoim skromnym wyposażeniem. Taki obrazek musiał robić wrażenie. No i rzeczywiście, nie minęło kilka minut, gdy usłyszałem nad głową trzask otwieranych okien i głośne rozmowy.

Asystent nie zwracał jednak na nie uwagi. Ledwo doszedł bowiem do krawężnika, a już wskazówka radiometru skoczyła do przodu i w jednej chwili znalazła się poza skalą. Jednocześnie miarowy terkot aparatu zamienił się w głośne trzeszczenie. Asystent zatrzymał się, opuścił radiometr nieco niżej i kciukiem przełączył zakres. Wskazówka lekko drgnęła, ale nic nie wskazywało na to, że zamierza wrócić na skalę. Dopiero kolejne przełączenie zakresów sprowadziło ją na środek podziałki.

Z trudem przełknąłem ślinę. Poczułem, że robi mi się gorąco. To było niesamowite. Środek wielkiego miasta, stolicy europejskiego kraju. Ulica dostępna dla każdego. I naraz coś takiego!